

CYKL Z KOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław  
**GORZKA**  
**TOTENTANZ**

SUICIDE CLUB



BUKOWY LAS



## 34 LATA WCZEŚNIEJ

*Ból nagle znika. Cudowne orgiastyczne uczucie ciepła rozlewa się po zdrętwiałych, skurczonych mięśniach.*

*Nagle słyszy głosy. Pod przymkniętymi powiekami widzi przesłiczne miasto, które mieni się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy i złotem. W mieście bawią się dzieci. Roześmiane twarze, szczęście w oczach, radosne okrzyki, ubrania lśniące czystością w słonecznym blasku.*

*Naraz go zauważają. Dziewczynki i chłopcy w jego wieku stają na skraju miasta i wołają:*

- Chodź do nas!*
- Baw się z nami!*
- Jak masz na imię?*

*Nie pamięta, kim jest. Nie pamięta, gdzie jest. Nic go to nie obchodzi.*

*Zaczyna biec, ale nogi grzęzną w wysokiej trawie porastającej równinę. Zostało jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Biegnie, lecz zamiast się zbliżać, oddala się od miasta. Chce krzyknąć, żeby poczekali, ale już go nie słyszą. Dzieci rozchodzą się zawiedzione.*

*Złote miasto się oddala, blednie, po chwili ginie w białej mgle.*

*Nie ma już nic. Tylko ta mgła.*

*Mózg powoli przestaje funkcjonować.*

*To pierwsza faza agonii.*

*Jak w pozbawionej zasilania maszynie wyłączają się kolejne obwo-  
dy: pamięć, myślenie, ból, uczucia, strach. Kiedy jednak uświadamia  
sobie, że za chwilę umrze, szarpie się rozpaczliwie ostatni raz.*

*Ostatnia próba ratunku. Szanse bliskie zera.*

*W ułamku sekundy, w procedurze nigdy jeszcze nieużywanej, lecz  
zakodowanej w genach, tworzą się dziesiątki milionów nowych połą-  
czeń neuronów. W tej samej chwili w układzie zaczyna krążyć prąd.  
Budzi się najbardziej pierwotny instynkt przetrwania, system bezpie-  
czeństwa przejęty po praprzodkach, którzy musieli bronić się przed dziką  
i bezwzględną przyrodą praświata. Instynkt budzący się w chwili, kiedy  
wszystko inne ginie, kiedy wyłącza się myślenie i świadomość.*

*Najpierw poruszają się palce. Powoli, wytrwale, jednostajnymi rucha-  
mi przypominającymi przedśmiertne drgawki robią dla dłoni małą niszę  
w miękkiej ziemi. Zaraz jednak ziemia się zapada i palce nieruchomieją.*

*To nic. Ten eksperyment pozwala nowej sile zarządzającej ciałem  
opanować sytuację. Stabilizuje się tętno, serce zaczyna uderzać miaro-  
wo, oddech staje się głębszy.*

*Pojawia się nowy problem. Zaczyna brakować tlenu. Głębszy oddech  
wciąga do gardła i płuc drobinki ziemi i grozi uduszeniem w ciągu kilku-  
dziesiątciu sekund. Obie dłonie zaczynają rozpaczliwie rozgarniać ziemię.  
Na szczęście ciało jest przysypane cienką warstwą czarnej gleby i już po kil-  
ku sekundach nadludzkiego wysiłku dłonie wydostają się na powierzchnię.*

*Twarz! Trzeba odstąpić twarz!*

*Ziemia się obsypuje, szerzej rozwierają się usta zalepione krwią  
i płuca łapczywie chwytają hausty rześkiego powietrza wrześnie-  
nocy. Na moment siły wracają. Ręce zrzucają kamienie leżące na piersiach  
i podbrzuszu, ciało wydostaje się z płytkiego grobu, przewraca się na  
brzuch i odpełza dwa metry w bok, na trawę. Tuastyga w bezruchu.  
Płuca i krtań oczyszczają się z ziemi w gwałtownym ataku kaszlu, żo-  
łądek w nagłym skurczu pozbywa się żółci powstałej w chwili agonii.*

*Dalej! To jeszcze nie koniec.*

*Popychane przez ślepy instynkt przetrwania ciało przesuwają wytrwa-  
le, centymetr po centymetrze, przez ciemność w kierunku światła. Jak wiel-  
ki, czarny, oślizgły robal, który wypelza spod ziemi tylko pod osłoną nocy.*

*Nagle trawa się kończy i ludzki robak oblepiony czarną ziemią i krwią trafia na brukowaną ścieżkę. Tutaj zamiera na dłużej.*

*Gdyby to widowisko obserwował ktoś z boku, mógłby nabrać podejrzeń, że ludzki czerw jest już martwy. Jednak w tamtym czasie i miejscu nie było nikogo. Obserwatorem dramatycznej walki dziecka o życie mógł być co najwyżej Bóg.*

*Albo Diabeł.*

*Okaleczony mózg budzi się z chwilowego letargu i znowu daje sygnał do walki. Ciało drga i mozolnie zbliża się do uchylonej bramy, w stronę nikłej poświaty, która dociera w to miejsce z oddalonej o kilkadziesiąt metrów ulicznej latarni.*

*Niespodziewanie na wysypanej żwirze drodze słychać kroki. Zbliżają się szybko i pewnie.*

*Mózg rejestruje dźwięk i próbuje wezwać pomoc. Stłuczone, spuchnięte wargi poruszają się w niemym wołaniu o ratunek, lecz ciszy nocy nie zakłóca żaden dźwięk. Słychać tylko te kroki.*

*Coraz bliżej i bliżej.*

*A jeśli wcale nie oznaczają ocalenia? Jeśli teraz nastąpi dalszy ciąg kaźni?*

*Ta podprogowa myśl przemyka przez wszystkie komórki kory mózgowej i sprawia, że w jednej chwili wszystko gaśnie i zapada ciemność.*

*Prawdziwa ciemność pełna błogiej ciszy i nieistnienia.*

## POCZĄTEK

Koniec czerwca 2015

Film miał mieć co najmniej dziesięć milionów wyświetleń.

Apacz wybrał miejsce, zorganizował przebrania, stojaki i oświetlenie. Pożyczył od kogoś profesjonalną kamerę umożliwiającą nocne zdjęcia dobrej jakości.

Swoim optymizmem zaraził resztę.

W pierwszy weekend lata, w ciepłą i gwiazdzistą noc dwa samochody osobowe wyjechały z Wrocławia drogą w kierunku Smolca. Przed osiedlem domków jednorodzinnych skręciły z ulicy Żwirki i Wigury w prawo i wąską asfaltową drogą pojechały wzdłuż wysokiego ogrodzenia, za którym rozciągały się tereny należące do jednostki wojskowej przy lotnisku na Strachowicach, w kierunku Krzeptowa i dalej.

Ruch był niewielki, jechali szybko, podnieceni i rozbawieni. Lekki niepokój zabijali głośnym śmiechem, żartami i dużą ilością piwa.

Droga wiodła przez most na Bystrzycy i ginęła w gęstym lesie. Mimo księżycowej, dość jasnej nocy światła samochodów z trudem przebijały się przez mrok. Rosnące po obu stronach wielkie drzewa z rozłożystymi konarami stykającymi się w górze tworzyły tunel pograżony w absolutnych ciemnościach. Nad drogą przelewały się fale białej mgły podnoszącej się z podmokłych terenów Parku Krajobrazowego Doliny Bystrzycy.

– Niech to cholera weźmie! – zaklął Mateusz Jastrzębski prowadzący pierwsze auto i wcisnął odrobinę zbyt mocno pedał hamulca.  
– Nic nie widać...

Nagle z tyłu dobiegł ich ostry pisk opon hamującego za nim auta.

Siedzący na przednim siedzeniu obok kierowcy Oskar Berton, zwany Apaczem, obejrzał się zaniepokojony i pokręcił głową.

– No, teraz pojechałeś – rzucił.

Mateusz popatrzył we wsteczne lusterko i nonszalancko wzruszył ramionami.

– Niech uważa, jak jedzie.

Nie dał po sobie poznać, że przez chwilę zrobiło mu się gorąco. Ojciec by mu nie wybaczył nawet najdrobniejszej ryski na toyocie. Tym bardziej że był w delegacji za granicą i nie wiedział, że jego nastoletni syn jeździ autem bez pozwolenia. Jadący z tyłu nową hondą civic Tymon Jagła też pewnie nie miałby pomysłu, jak wytłumaczyć starym, co robił o północy kilkanaście kilometrów za miastem i jak doszło do wypadku.

Mateusz wyjął z rąk Apacza piwo w puszcze i pociągnął dwa duże łyki dla kurazu.

– Daleko jeszcze? – zapytał zniecierpliwiony.

Mgła zgęstniała. Przed maską samochodu kotłowały się białe tumany, w których ginęło światło reflektorów.

– Za następnym zakrętem – odrzekł uspokajająco Apacz.

Rzeczywiście kilkaset metrów dalej las gwałtownie się kończył. Mgła się przeredziła, widać było szosę prowadzącą przez pola pod rozgwieżdżonym niebem. Dojechali do skrzyżowania. Droga w lewo prowadziła do Kątów Wrocławskich, a w prawo do oddalonej o półtora kilometra miejscowości, której nazwy nie można było odczytać z zamalowanej sprayem tablicy. Skręcili w prawo i chwilę później Apacz kazał Mateuszowi znowu skręcić w szutrową drogę pełną wybojów i kolein. Po przejechaniu kilkunastu metrów znaleźli się w lesie. W świetle księżyca doskonale widać było białe pnie brzoź, połyskujące zza krzewów porastających gęsto pobocze. Po kolejnych kilkuset metrach las się kończył. Po prawej stronie rozciągały się pola uprawne, a w lewo odchodziła zarośnięta wysoką trawą polna droga prowadząca do cmentarnej bramy.

Apacz wybrał doskonale miejsce. Pierwsze domostwa znajdowały się kilkaset metrów dalej. Nikt o tej porze nie mógł im przeszkodzić.

Zaparkowali i wysiedli z samochodów. Odwaga nakręcana do tej chwili przez młodzieńczą brawurę i alkohol gdzieś uleciała.

– Co jest? – Apacz spojrzał na kolegów z kpiącym uśmiechem na ustach. – Strach was obleciał?

Związał długie włosy i naciągnął maskę na twarz. Ruszył przed siebie, przecisnął się przez szparę w zardzewiałym ogrodzeniu i znalazł się na cmentarzu. Przez chwilę szarpał bramę, wydając z siebie potępięcze jęki, jakby był nieboszczykiem desperacko próbującym wydostać się na zewnątrz. Ten pokaz wywołał u reszty mimowolne salwy śmiechu. Apacz, podobnie jak pozostali chłopcy, ubrany był w obcisły czarny kostium, na którym białą fosforyzującą farbą nadrukowano ludzki szkielet. W ciemnościach odznaczały się tylko jasne wzory kości.

– Muszę w krzaki – powiedział nagle Michał Rudnik.

Jagoda Chmielnik prychnęła pogardliwie.

– Kwasu, może ty masz jakiś problem z pęcherzem? – zadrwiła.

Miała długie, prawie białe włosy i uchodziła za klasową piękność. Nie na darmo nazywano ją Daenerys – była bardzo podobna do królowej Daenerys Targaryen z *Gry o tron*. Przebrała się zresztą odpowiednio. Nosiła spływającą do ziemi jasną suknię, na ramiona zarzuciła czerwony szal, białe włosy spięła z tyłu w koński ogon. Czubek jej głowy zdobiła korona wycięta z kartonu i oklejona złotą folią.

Kwasu popatrzył na nią z wyższością.

– Po prostu wypilem najwięcej. – Wzruszył ramionami i skręcił w stronę czerniejących z boku krzewów.

Pozostali chłopcy skorzystali z okazji i bez słowa poszli w jego ślady.

Dziewczyny zostały w miejscu.

– Jak dzieci – powiedziała Fiolka, czyli Ania Wiśniewska.

Była przebrana za biskupa. Miała na sobie pozłacaną tunikę imitującą szaty liturgiczne, na głowie srebrną infulę, a w rękę trzymała własnoręcznie zrobiony pastorał zakończony efektowną spiralą. Nie mogła pochwalić się talentem plastycznym, ale spirala wyszła jej doskonale.

– Cóż, przynajmniej można zapalić – westchnęła Dominika Skrucha. Zawsze miała przy sobie co najmniej dwie paczki cienkich mentolowych papierosów. Z racji nazwiska od wczesnej podstawówki nosiła ksywę Skucha – wszyscy, łącznie z nauczycielami, notorycznie przekręcali jej nazwisko. Dominika przebrała się za rycerza. Jej piersi okrywała plastikowa zbroja z herbem Ślepowron, na plecy zarzuciła pelerynę, a do szerokiego wojskowego pasa przymocowała miecz. Na głowie miała hełm. Przyłbica ciągle opadała jej na oczy i Dominika musiała ją poprawiać.

Ostatnią dziewczyną była Weronika Kaczuk, wysoka, ciemnowłosa, o zadziornym spojrzeniu. Przebrana w czarny habit mniszki wyglądała bardziej na postać z horroru klasy B niż na siostrę zakonną.



Zanim zdążyły się porządnie zaciągnąć dymem, wrócili chłopcy. Wszyscy naciągnęli już maski i nie mogli ich rozpoznać.

– Siostry, rzućcie to świństwo! – wykrzyknął pierwszy szkielet głosem Apacza. – Mam coś o wiele lepszego...

Pogrzebał chwilę w tylnych kieszeniach spodni, wyciągnął kartonowe pudełko po papierosach i triumfalnie pokazał wszystkim zawartość.

– Świeży towar – odezwał się Tymon Jagła. Miał ksywę Don Pedro. – Ty zawsze masz genialne pomysły, Apacz.

– Przestańcie! Mamy kręcić film, a wy się najaracie i nic z tego nie będzie – mruknęła Dominika.

– Przestań, Skucha, będzie lepsza zabawa. – Apacz puścił dwa skrzyty w obieg.

Palili w milczeniu.

– Niezłe ziolo – szepnął Kwasu.

Dziewczyny śmiały się głupkowato. Mateusz Jastrzębski nagle zaczął podskakiwać, jakby stał bosymi stopami na gorącym żelazie. Powtarzał bez przerwy:

– Czujecie to? Czujecie? Czujecie wibracje?

Daenerys co chwilę trącała rycerski hełm Dominiki. Przyłbica raz po raz opadała z trzaskiem, ale Dominika się nie denerwowała, tylko cierpliwie ją podnosiła, zanosząc się śmiechem.

W pewnej chwili Apacz klasnął w dłonie.

– Dość zabawy! Przecież mamy nakręcić film – przypomniał.

Jak na komendę rzucili się do bagażników i zaczęli wyciągać oświetlenie, przewody do akumulatorów, kamerę i statywy.

Jan Kamiński wracał do domu rowerem. Było już dobrze po północy. W lesie za mostem na Bystrzycy zalegała biała jak mleko, wilgotna, zimna mgła. Czuł, jak lodowate drobinki osiadają mu na twarzy, jego rzadkie siwe włosy zrobiły się zupełnie mokre. Na szczęście grzała go jeszcze wódka, którą wypił z kolegą. Dużo wódki. Tak dużo, że na początku nie mógł wsiąść na rower i złapać równowagi. Skończyło się na upadku na asfalt i stłuczonym boleśnie kolanie.

– Szlag by trafił, cholerne kolano – mruzczał pod nosem.

Oczy mu się trochę kleiły, kiedy wyjechał wreszcie z lasu. Chciał skrócić w prawo do wioski i wtedy wywrócił się ponownie. Koła poślizgnęły się na cienkiej warstwie piasku przykrywającego asfalt na poboczu jezdni. Był na tyle pijany, że nie zdążył prawidłowo zareagować.

Klnąc, pozbierał się z ziemi, ale jechać dalej już nie mógł. Kolano bolało okropnie. Postanowił pójść piechotą. Do wioski nie było daleko. Nie bardzo pamiętał, jak przeszedł kilkaset metrów, prowadząc rower. Minęło go auto i wtedy trochę otrzeźwiał. Zauważył, że znajduje się na wysokości polnej drogi odchodzącej w prawo. Nie zastanawiając się długo, skręcił. Tędy miał bliżej do domu, choć nie chodził tu po zmroku. Przy drodze znajdował się stary cmentarz, ludzie różne rzeczy gadali. Teraz jednak Kamiński był na tyle otumaniony wódką, że nawet o tym nie pomyślał.

Przeszedł już spory kawałek drogi, gdy nagle przystanął zaniepokojony. Od strony cmentarza, od którego oddzielał go teraz tylko wąski skrawek brzoźowego lasu, dochodziły śmiechy i pokrzykiwania. Między drzewami migotały światła, a kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł kilka postaci tańczących między nagrobkami.

– Co do diabła? – mruknął do siebie na głos i się przeżegnał.

Nawet się nie przestraszył, alkohol dziwnie dodawał mu odwagi. Ruszył dalej, ale już po kilku krokach gwałtownie się zatrzymał.

Na skraju drogi dojrzał zarys ciemnej sylwetki. Kamiński głośno przełknął ślinę i zawołał drżącym głosem:

– Kto tam jest?!

Postać odwróciła się wolno i wtedy pod Janem ugięły się nogi z przerażenia. Prawie upuścił rower.

Przed nim stał kościotrup. Wyraźnie rysująca się w ciemnościach czaszka z pustymi oczodołami i równymi rzędami zębów sprawiała wrażenie, jakby szkielet się uśmiechał. Jan po chwili zaczął myśleć logiczniej. Chodzące nocą po polnych drogach szkielety nie istnieją. Domyślił się, że ktoś stojący nieopodal jest przebrany.

– Co tu robisz? – powtórzył o wiele pewniejszym głosem.

Postać zbliżyła się do niego zaskakująco szybko. Teraz w świetle księżyca Kamiński widział błysk oczu w zięjących czernią oczodołach.

– Przeszedłem na bal – odezwał się nieznajomy.

To był szept człowieka ogarniętego szaleństwem i przez to przechodzący w chrapliwy syk. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Kamiński.

– Jaki bal? – zdołał wyszeptać, czując nieznośną suchość w ustach.

– Na cmentarzu jest dzisiaj bal. Nie wiedziałeś? – Przebieraniec nachylił się jeszcze bardziej. – Prawdziwy Taniec Śmierci. Szalony Totentanz. Zabawa do białego rana!

– Kim, do cholery, jesteś?

– Nie widzisz? Kościotrupem. Już dawno jestem martwy. Ty też będziesz. To nic straszego.

– Co ty...

Nieznajomy mu przerwał.

– Niestety, nie mogę cię zaprosić na bal – powiedział jakby z żalem. – Brak miejsc.

Nagle Kamiński poczuł piekący ból, jak gdyby ktoś przyłożył mu do brzucha rozpalone do białości żelazo. Zdziwiony spojrział w dół i dopiero po pewnej chwili zrozumiał, co się stało. Nieznajomy wbił mu w brzuch nóż. Po koszuli szybko rozlewała się czarna plama. Kamiński wiedział, że to jego krew. W panice próbował sięgnąć rękami do noża, ale tamten zdążył zadać serię ciosów, kalecząc mu przy tym palce i nadgarstki. Rower wpadł z brzękiem do przydrożnego rowu, Kamińskiemu nagle zmieniła się perspektywa widzenia – miał przed oczami tylko ziemię i stopy napastnika. Stopy szybko się oddaliły.

– Czas na Totentanz – usłyszał jeszcze.

Robiło się coraz zimniej i ciemniej. Świat oddalał się nieubłaganie.

Kamera włączona! Cztery ledowe lampy oświetlały środek cmentarza, gdzie zaczęło się widowisko.

Przez cmentarz między nagrobkami sunął przedziwny pochód. Cztery pary podążały jedna za drugą w pozagrobowym polonezie.

Pierwszy kościotrup prowadził za rękę biskupa, kolejny wiódł na zatracenie królową, następny ciągnął rycerza. W ostatniej parze pod rękę ze szkieletem szła mniszka w czarnym habicie.

Całe przedstawienie być może odbyłoby się w atmosferze śmiertelnej powagi, ale samozwańczy artyści nie przewidzieli kilku szczegółów. Nikt nie pomyślał, że ścieżki między nagrobkami będą bardzo wąskie, do tego porośnięte trawą i cmentarną roślinnością. Poza tym stare nagrobki się zapadły, inne rozplynęły się i zniknęły pod warstwą trawy. Przy słabej widoczności trudno było przewidzieć, gdzie się znajdują. Dodatkowo piwo i marihuana mocno wpłynęły na koncentrację i koordynację ruchową odgrywających przedstawienie. Co chwilę ktoś się potykał i przewracał, prowokując głośne wybuchy śmiechu. Rycerzowi opadała przyłbica i musiał ciągle ją podnosić. Królowej zjeżdżała korona, szal raz po raz zaczepiał o kolczaste gałęzie krzewów. Biskup zgubił infułę. Jakby tego było mało, ktoś stanął na upuszczony pastorał, łamiąc go w połowie.

Pary się wymieszały, każdy tańczył z każdym, zmieniały się tańeczne style. Okazało się, że kościotrupy bardzo dobrze radzą sobie z tańcami naśladującymi breakdance, mniszka z biskupem próbowali salsy. Zupełnie nieoczekiwanie jeden ze szkieletów zaczął się popisywać bardzo dobrą znajomością kroków tanga. Po kolei tańczyli z nim biskup, mniszka i królowa.

Nie wiadomo, kto zawołał, że nadjeżdża jakiś samochód. Towarzystwo rzuciło się do aut zaparkowanych przed bramą, zapominając o oświetleniu i rejestrującej wszystko kamerze. Apacz był na tyle przytomny, by krzyknąć, że trzeba złożyć sprzęt.

Opamiętali się. Wrócili, zdjęli lampy i włożyli je do bagażnika, Apacz zajął się statywem i kamerą.

Ruszyli, jakby ich ktoś gonił. Pierwsza na polną drogę wyjechała toyota i buksując oponami w piasku, wolno nabierała prędkości. Wyrwała do przodu dopiero, kiedy niezbyt przytomny kierowca odjął trochę gazu. Tymon Jagła miał mniej szczęścia z trafieniem na drogę. Za późno skręcił i honda wjechała lewym kołem do rowu.

Jednak w porę wcisnął hamulec, samochód zawisł na podwoziu i silnik zgasł. Pasażerom auta udało się wypchnąć je z powrotem na drogę i chwilę później honda mknęła w ślad za toyotą w kierunku Wrocławia.

## ROZDZIAŁ 1

Początek sierpnia 2015 roku

Na burzę zbierało się od kilku dni. Wreszcie nadeszła ulewa, krótka i bardzo gwałtowna. Na ulicy Rogowskiej na Nowym Dworze studzienki kanalizacyjne od razu się zapchały i wielka kałuża rozlała się na zakręcie między pętlą autobusową a Biedronką. Aspirant Karina Buczko i jej kolega z patrolu, starszy aspirant Jacek Felman, ukryci przed deszczem w policyjnym radiowozie obserwowali, jak samochody pokonują to jezioro, efektownie rozbryzgując wodę.

- Będzie z tego jakiś wypadek – zrzędził jak zwykle Felman.
- Niby dlaczego? – zdziwiła się Buczko.

Felman był od niej dziesięć lat starszy, od dawna jeździł w patrolach, dlatego chętnie udzielał rad młodszej koleżance. Na początku się denerwowała, potem przestała zwracać uwagę. Felman narzekał i marudził, pchał się tam, gdzie nie trzeba, sprowadzał sobie na głowę kłopoty, ale w sumie był dobrym kolegą i policjantem.

– Jeden drugiemu zaleje przednią szybę, nie zachowają ostrożności i stłuczka gotowa – stwierdził. – Nie wspominając o akwaplaningu.

Uśmiechnęła się pod nosem, nie skomentowała jednak. Dokończyli kanapki, popili kawą z termosu, Jacek uruchomił silnik i wyjechali z parkingu w prawo, w kierunku Strzegomskiej. Podrasowany silnik policyjnego passata ryknął, kiedy Felman wcisnął gaz. Miał o wiele więcej koni mechanicznych niż taki sam model z salonu.

Była dwudziesta czterdzieści pięć. Ich patrol miał trwać jeszcze całą noc, do szóstej rano.

Budowę biurowca przy ulicy Granicznej rozpoczęto wiosną poprzedniego roku. W dwa miesiące zakończono prace ziemne i wylano fundamenty, potem szybko powstały jeszcze dwa piętra i nagle budowa z niewiadomych przyczyn stanęła. Od roku ludzi jeżdżących na lotnisko straszyla betonowa konstrukcja bez okien.

Lubił tutaj przychodzić. Był przecież Obserwatorem.

Wewnątrz niedokończonego budynku znalazł zbitą z desek prowizoryczną drabinę prowadzącą na najwyższy poziom. Początkowo z wysiłkiem się tam wdrapywał, a jeszcze trudniej mu było schodzić – miał niesprawne dłonie. Plastikowe protezy do niczego się nie nadawały, mógł co najwyżej podrapać się nimi po tyłku. Czasem się zastanawiał, czy ich zakładanie ma sens. Wielokrotnie chciał je zostawić w domu, lecz zawsze w ostatniej chwili zmieniał decyzję. Dziwnie się czuł, wychodząc z domu bez rąk. Wstydził się swojego kalectwa. Kiedy miał protezy, wydawało mu się, że kikuty mniej bołą.

Ból.

Nie opuszczał go ani na sekundę. Czy do bólu można się przyzwyczaić? Chyba tak. Inaczej przecież nie spałby po nocach i nie prowadził w miarę normalnego życia.

Przychodził tu tylko wtedy, kiedy nie było ciecicia. Po zachodzie słońca trzy mocne światła umieszczone na szczycie stróżówki oświetlały budynek, ale budka strażnicza najczęściej była pusta.

Uwielbiał stawać przy prowizorycznej barierce zbitej z desek na krawędzi dachu od strony ulicy. Z tego miejsca nawet w nocy rozciągały się wspaniałe widoki. Na wschodzie, zaraz za zabudowaniami Comexu i polem kukurydzy, widać było autostradową obwodnicę Wrocławia, a dalej ciemne szczyty drzew parku Milenijnego, zza których wyłaniały się bloki Nowego Dworu. Kiedy patrzył na zachód, w niewielkiej odległości widział wieżę z czerwonym napisem „Hotel” i mrugającą białą literę H ponad oświetlonym terenem hotelu Orle

Gniazdo i przyległej do niego stacji benzynowej Bisek. Lubił obserwować migające światło. Wyobrażał sobie, że jest na drewnianym, skrzypiącym żaglowcu widmie, który zbliża się do skalistych wybrzeży. Latarnia morska na skale mrugała ostrzegawczo.

Jakieś cztery kilometry dalej znajdowało się lotnisko. Za każdym razem, kiedy patrzył w tamtym kierunku, widział światła lądujących lub startujących samolotów. Czasem słyszał huk silników.

Uwielbiał to miejsce. Potrafił tak stać do wczesnych godzin porannych.

– Hej, człowieku!

Pogrążony w myślach, nie zareagował na pierwsze okrzyki. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mogą być skierowane do niego. Czyżby strażnik jednak był w budce? Ocknął się z niechęcią z marzeń i spojrzał w dół.

Na podjeździe przed bramą zaparkowany był policyjny radiowóz. Nie zauważył go wcześniej. Jeden z policjantów stał w otwartych drzwiach pojazdu, drugi zbliżył się do bramy. Obaj patrzyli na niego. To wołał ten drugi.

– Hej, złaź stamtąd!

Nie zareagował.

Felman pierwszy zauważył człowieka stojącego na dachu. Zaklął i chciał wcisnąć pedał hamulca, lecz zrezygnował. Radiowóz jechał zbyt szybko. Ulica była jeszcze wilgotna po deszczu i Jacek przestraszył się poślizgu.

– Co się dzieje? – zapytała zdziwiona Karina, widząc jego nerwowe manewry.

– Jakiś świr stoi na dachu. – Jacek wskazał kciukiem za siebie.

Policyjne auto zawróciło na rondzie i wolno ruszyło przeciwnym pasem z powrotem w kierunku wiaduktu nad AOW. Karina i Jacek pochylili głowy, uważnie patrząc na szkielet budowanego przy Granicznej biurowca. Zdążyli przyjrzeć się postaci stojącej na dachu.

– Samobójca? – mruknęła Karina Buczko.

Jej partner się roześmiał.

– Za nisko. Co najwyżej połamalby sobie kulasy. – I wdusił nagle gaz do dechy.

Przemknęli nad autostradą i zawrócili na następnym rondzie. Kiedy parkowali na podjeździe przy bramie, człowiek wciąż tam był. Oboje wysiedli z samochodu i spoglądali na niego, zadzierając głowy w górę.

Karina poczuła nagle nieokreślony niepokój. Postać wydała jej się dziwna. Za długie ręce w stosunku do ciała, zgarbiona sylwetka, nienaturalny bezruch. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest żywy, czy może ktoś dla kawału postawił tam manekina. Ale postać poruszyła głowę. Najpierw patrzyła w kierunku autostrady, potem w drugą stronę. Policjantów chyba nie widziała. Jak Quasimodo – przemknęło Karinie przez głowę i struchlała jeszcze bardziej.

– Hej, człowieku!

Wydawało się, że ten na dachu dopiero teraz ich zauważył. Wyraźnie widać było, że drgnął.

– Hej, złaź stamtąd! – krzyknął znowu starszy aspirant Jacek Felman. Był w swoim żywiole.

Karina na moment odwróciła wzrok i nagle postać na dachu zniknęła.

– I tak cię dopadnę, pomyłeńcu! – Felman wyszarpnął policyjną pałkę, przecisnął się przez szparę w ogrodzeniu i zniknął w szkieletcie budynku.

– Cholera jasna! – zaklęła Karina.

Nie wiedziała, co robić. Poszła dwa kroki za Jackiem, ale przystanąła niepewnie. Odwróciła się i spojrzała na otwarte drzwi do radiowozu. Potem znowu przeniosła wzrok na ciemny szkielet budowanego biurowca. Trzy kondygnacje wylane z betonu, podparte jeszcze w wielu miejscach stemplami. Żadnego światła, tylko lampy nad pustą budką strażnika.

Zapanowała przeraźliwa cisza. Graniczną niejechał akurat żaden samochód, od autostrady dobiegał szum ciągnących tamtędy pojazdów.

– Jacek! – krzyknęła Karina.



Nie odpowiedział. Przez chwilę wydawało jej się, że usłyszała od strony budynku jakiś głuchy łomot, lecz mogło to być złudzenie. W tej samej chwili dwa auta przemknęły za jej plecami. Ich koła wyjątkowo głośno szumiały na mokrym asfalcie. Wydobyla z kabury pistolet i ruszyła tą samą drogą, którą parę minut temu pobiegł Felman – przez szparę w ogrodzeniu, a potem po drewnianych schodkach do środka.

Wewnątrz było ciemno i cicho. Słyszała wyraźnie, jak chrzęści piasek pod podszwami butów i jak ten dźwięk odbija się echem od betonowych sufitów. Po kilku krokach zatrzymała się, zgasiła latarkę i poczekała, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Nie było wcale ciemno – lampy na ulicy i przy budce strażnika dawały sporo światła. Uspokoila oddech i ruszyła dalej z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Po drugiej stronie budynku natknęła się na drabinę prowadzącą wyżej. Ostrożnie wspięła się na czwarty szczebel, wystawiła głowę nad podłogę i rozejrzała się uważnie. Nie dostrzegła nic podejrzanego, więc weszła na pierwszy poziom. Obeszła wszystkie pomieszczenia. Nikogo. Czowała krople potu spływające po karku. Koszula nieprzyjemnie lepila się do ciała.

– Co jest, do cholery? – szepnęła do siebie bezgłośnie.

Stała przy krawędzi piętra i spojrzała w dół. Plac budowy pusty, żadnego ruchu, radiowóz stał tak, jak go zostawiła, z otwartymi drzwiami od strony pasażera. Ani śladu Felmana.

Na najwyższym poziomie, na którym zauważyli dziwną postać, też nie było nikogo. Co się w takim razie stało? Gdzie zniknął Jacek?

– Niech cię tylko dorwę, palancie – powiedziała już głośniejszym głosem.

Obchodziła dach budynku wzdłuż prowizorycznej bariery z desek, patrząc w dół. Najpierw obejrzała oświetlony plac przed bramą, potem dłuższą część budynku od strony pola i w końcu tę położoną najdalej od ulicy. Tu było najciemniej, ale i tak od razu zobaczyła ciało leżące w trawie.

– Jacek!

Felman nie poruszył się ani nie zareagował.

Prawie zbiegała w dół. Znalazła wyjście na zewnątrz. Zatrzymała się, uspokoiła oddech i wysunęła się z budynku z pistoletem gotowym do strzału. Felman leżał na brzuchu, z rozrzuconymi rękami. Podbiegła do niego i przyłożyła palce do tętnicy szyjnej. Gigantyczna ulga. Serce biło normalnie, oddychał płytko, po uchu i lewym policzku spływała krew z rozbitej głowy.

Karina sięgnęła po krótkofalówkę i wezwała pomoc.

Polub nas  
na Facebooku



**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



# PRZESZŁOŚĆ NIE POZWOLI O SOBIE ZAPOMNIEĆ

Śmierć objęła rządy w mieście. Wśród młodzieży mnożą się samobójstwa, wrocławska policja znajduje zwłoki zamordowanych młodych kobiet, płatny zabójca rozwiązuje problemy w światku handlarzy narkotyków. Kiedy spotyka się twarzą w twarz z komisarzem Marcinem Zakrzewskim, rzuca mu wyzwanie. Rozpoczyna się bezwzględna rywalizacja. Żeby złapać mordercę, Zakrzewski musi zmierzyć się z najmroczniejszą stroną swojej natury. Musi dokonać niemożliwego – zatańczyć ze śmiercią i przeżyć.

*Zakrzewski powraca w swoim stylu, jak wilk bez watahy.  
Powracają też splątane wątki i brawurowe akcje,  
których tempo nie zwalnia ani na jeden oddech.*

**Anna Fluder, Radio RAM**

*Martwy sad i iluzja przyprawiły cię o gęsią skórkę?  
Totentanz przyprawi cię o dreszczel! Ostatnia część  
cyklu CIEŃ PRZESZŁOŚCI wbija w fotel.*

**Robert Migdał, „Gazeta Wrocławska”**



[bukowylas.pl](http://bukowylas.pl)

Cena: 49,90 zł